11. lipca. Nr. 14. Rok 1860.

CZYTELNIA
dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1., 11., i 21. Bioro redakcyi przy ulicy Frenela Nr. 114. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt., półrocznie 2 zł. 20 cnt., ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

Przypomnienia.

I.

Są rzeczy, o których nigdy dostatecznie nie można się nagadać, rzeczy wymagające ustawicznego a gorącego przypomnienia. Do tych należy dzisiejszy kierunek, usposobienie, wady, i t. p. młodzieży. Wie to każdy, że na niej polega przyszłość nasza — tem samem więc stać się ona powinna najgłówniejszym celem wszystkich zabiegów. Zawładnienie kierunkiem młodzieży jest ogromną pracą, a do tej potrzeba wielkich sił i wielu pracujących. Niech więc każdy czyni według możności.

Wychodząc z tej zasady powinna *Czytelnia* najczęściej swoje dorzucać ziarno. Jest to bardzo jasną rzeczą, że *Czytelnia* nie może objąć głównego kierunku naukowego młodzieży. Jej zadanie jest inne. Jej zadaniem jest pobudzanie młodzieży do żywszego duchowego życia i podsycanie onego wedle możności. Dla tego sądzę powinna w sobie zawierać stosowne *incitamenta* choćby ostre i gorzkie. Przeciw wielkiej chorobie gwałtownych używa się środków.

Jest wiele rzeczy, których otwarcie wypowiedzieć nie można. Dla czego? łatwo się domyśleć! Że je zaś wypowiedzieć trzeba, wypada użyć wszelkich środków, choćby n. p słów negujących. Nie mogąc wprost powiedzieć *czyńcie tak*, mówmy *nieczyńcie tak*. Prócz tego jest to rzeczą doświadczoną, że błędy wystawione pod pręgierzem publicznej opinii lepiej skutkują niż proste rady.

To właśnie bierzemy sobie tutaj za zadanie. Pojedyńczych osobistości nie tykamy, bo — nie warto! Nie tykamy również niektórych gron, jak owych błazenków pewnego świata, istnych folblutów głupoty i nicości, którzy stali się dla nas obcemi i zupełnie prawie nie wchodzą w nasz ogół narodowy. To parazyci z ślimaczem życiem i nijaką duszą. Powtarzam jednak: są i tu wyjątki, i w tej warstwie społeczeństwa znajduje się młodzież z polskiem sercem w piersiach. —

Coś podobnego podawała już Czytelnia w Rozmaitościach. Okazało się to jednak niedostatecznem, więc bierzemy szersze ramki i stawiamy tę rubrykę na czele. Co powiemy, pochodzi tylko z prawdziwej miłości braterskiej. Zważajcie na całą rzecz i cel, nie pochwytując pojedyńczych słów. Pamiętajcie oraz, że gorzkie słowa wypływają tylko z serca bolem przepełnionego.

Główną wadą dzisiejszej młodzieży bywa wynanaradawianie się. Aby dojść przyczyn musimy w krótkości przejść całe jej życie.

Pomijamy znowu tryb wychowania domowego, które u nas mówiąc nawiasem jest licha warte. Mówiono już o tem szeroko, niedawno i mądrze; więc patrzmy gdzie indziej, patrzmy na życie naszej najliczniejszej, pracującej, a zwykle biednej młodzieży.

Tych wypędza los wkrótce z pod domowej strzechy na świat. Cóż oni z sobą wynoszą? Oto naukę o Bogu i ojczyźnie, wyssaną z mlekiem matczynem, wpojoną wraz z nauką pacierza, świętą i ukochaną, bo naszą. Oh! to jedyny talizman na bezdrożu naszego dzisiejszego życia; biada temu kto go nie posiadał nigdy!

Z prawem i uczciwem sercem wchodzą pacholęta owe do szkół publicznych. Jakie te bywają, znamy dokładnie. Gadaniny wiele, mentorów kupa, lecz końcem nauki jak za grosz. Do tego zwykle ścisłe, ściślejsze nieraz jak uczciwość każe trzymanie się paragrafów. Otóż wnet okazuje się gwałtowna potrzeba owego talizmanu. Przychodzi oczywiście staczać przez lat kilkanaście walkę ważną i trudną. Lecz jakoś to się przy pomocy bożej kończy uczciwie, i poczucie narodowości naszej, leżące w głębi serca, zwycięża metodyczne starania przytłumienia jej.

Niedawno powiedziano, i wielce słusznie, że taka walka niezmiernie pomaga do zahartowania sił młodzieńczych, a groźna opozycya potęguje właśnie to uczucie, które wytępić chciano. Mój Boże! czyż jest widok rzewniejszy nad tę młodzież często odartą, o chłodzie i głodzie a jednak z prawdziwym zapałem ślęczącą

nad książką. Po przejściu takiej szkoły zdawałoby się że już nic nie sprowadzi jej z uczciwej drogi. A jednak bywa inaczej.

Po ukończeniu szkół wchodzi się w życie społeczne. Trzeba na serjo pomyśleć o dalszym losie, o karyerze. Za tem idzie z kolei aplikacya do urzędu. Czy zaplemianie się urzędów polakami jest dobrem lub złem, wieleby o tem trzeba mówić. My patrzmy tylko na to, co się tam z naszej młodzieży robi.

Dla dopięcia jakiegoś stanowiska trzeba najpierw stać się godnym, t. j. bardzo umiarkowanym człowiekiem. Po osiągnieniu jakiejś posady należy oczywiście zachowywać się tak, aby jej nie utracić. Owoż ta energia i życie wewnętrzne, ubrane najprzód w maskę Wallenroda, traci co raz bardziej na swej sile. Czas wychładza głowę i serce, siła słabnieje, a gdy przyjdą do tego nowe kłopoty domowe, żona i dzieci, wówczas indywidyum to nieszczęsne przekształca się bardzo prędko urzędownie w porządnego człowieka, t. j. konserwatystę — niuńkę, bez życia i charakteru, bez żadnej tęgości i najmniejszego poczucia narodowego.

Zdaje się to nieprawdopodobnem, a jednak świadczę się przykładami z życia, co chwila napotykanemi. Iluż to znałem młodzieży pełnej życia i nadziei, którzy po dwóch latach biurowego życia stali się nędzną machiną pisarską. Powodem tego bywa oczywiście jakaś niedostateczność w charakterze, mająca zaród jeszcze w życiu młodzieńczem. Bo kto raz całą duszą pochwycił sztandar swój, ten go chyba wraz z życiem porzuci. Niestety przypadki takie bywają rzadkie. A dla czego? powiemy później.

Wczoraj.

Szeroko Polski progi się rozbiegły;
Nimfy Baltyckie na jej rozkaz biegły
Stroić w bursztyny złotowłosą panię —
A stopy w czarnem kąpała limanie,
Kolana w kłosy i kwiecie wieńczyły
Drużki rusałki, po Łodzi pokrewne —
Wiatr jej stepowy spiewał dumki rzewne
I arfy w Dnieprze jej sławę dzwoniły;
A biały anioł od progu wschodniego
Stał z promienistym bułatem na straży —
I wolna pani z majestatem w twarzy,
Jako Minerwa wzroku błękitnego,
Na wschód i zachód dłonie rozpostarła:
Prawą na śniegach Karpackich oparła,
A z lewą splotła dłoń siostrzyca miła
Serdeczna Litwa — rozkochana księżna —
W krasy i siły młodym majestacie,
Jako Minerwa w świecie się piękniła
Wolna — serdeczna — dumna i orężna —
Siostra dla obcych — matka wolnych dzieci.
Na monarszego jej płaszcza szkarłacie
Jako gwiazd siedem, siedem stolic świeci
A z jej przeszłości tchnie westchnienie chwały!....
Stawił przed królem i sejmowem kołem
Koronny hetman srogie Moskwy cary;
W schylonym hołdzie powiewał płaszcz biały
Z wielkiego mistrza plec — i bili czołem
Pruskie kramnice — Wołoch hospodary
Czołem kołdowne na Rusi książęta,
I z Bogiem była Polska sprawa święta!
I święci polscy słynęli w świat cudy,
Pany chrzesciańskie im niosły pokłony —
Do dłoni polskiej garnęły się ludy,
Prosząc o pomoc, przyjaźń i braterstwo,
I nosząc w darze wierność i korony
Królewskim dzieciom — a polskie rycerstwo
Miało dank męstwa — czy w otwartej bitwie
Czyli też w męskiej na ostre gonitwie.

I bezprzykładnym obyczajem w dziejach,
Na bratnią wspólność po losów kolejach
Sprzęgły dwa dzielne narody swe dłonie;
Społecznym ślubem na podziw ludzkości,
Jako w dwóch jedno dwa ludy się zlały,
Jak jedno serce choć w podwójnym łonie —
Jako dwa dźwięki w muzyce wolności —
Jak na dwóch czołach wspólny wieniec chwały. —
Jako dwa pola wśród herbu jednego —
Jako dwa ostrza miecza rycerskiego;
I polak z chlubą nazwał się Litwinem,
A Litwin z dumą wolnej Polski synem!

Och! o tem Wczoraj spiewaćby bez końca!
Bo pył wczorajszy gdy serca doleci,
Buja w sto pieśni, i wionie i świeci
Jak kwiat pył roślin, pod wejrzeniem słońca!
Wiele wspominać! może wzdychać więcej;
Na strun tysiącach pieśni sto tysięcy
Błogiego Wczoraj chwały niewydźwięczy,
I tego Dzisiaj hańby nie wyjęczy.

Kijów. . . . r.

Z dziejów literatury XIX. wieku.

VI.

Powieściarstwo polskie.

(Dokończenie.)

Grabowski pierwszy rzuca na literaturę francuską uroczyste anatema, i poczyna krytycznie rozbierać powieści, za nim idzie Kraszewski. Nie ślepe naśladownictwo, ale rozmysł krytyczny kieruje odtąd piórem powieściarskiem. Korzeniowski nadaje powieści wykończoną artystyczną formę i stawia ją u szczytu doskonałości estetycznej.

Ale nim wspomniemy o tych koryfeach, winniśmy poświęcić słów kilka autorce „Jana z Czarnolasu", *Klementynie z Tańskich Hofmanowej*, która acz mniejszym obdarzona talentem, wielkie jednak zasługi położyła w literaturze, a większe jeszcze w życiu.

Nie jest tu zadaniem naszem oceniać pisma pedagogiczne tej szlachetnej Polki i wykazywać wpływ, jaki one wywarły i wywierają dotąd na młode pokolenie płci żeńskiej — aż nadto zresztą wiadome to każdemu, że zasługi jej w tym względzie wyższe są nad wszel-

kie pochwały, a na jej pomniku postawionym na obcej ziemi daleko od granic ojczyzny, słusznie wypisano: „wszystkie dzieci polskie są memi dziećmi". Zwrócimy po krótce tylko uwagę na utwory jej powieściarskie.

Pierwsze jej prace w tym zawodzie pojawiły się w piśmie peryodycznem, które poczęła wydawać w r. 1824 pod tytułem: „*Rozrywki dla dzieci.*" Są to drobne, skromne powiastki, oparte na wiadomościach historycznych lub podaniach ustnych. Wybór przedmiotu, chociaż nieraz znanego, znamionuje zawsze piękną duszę autorki; przedstawienie rzeczy proste, jasne, bez wszelkiej pretensyi i przesady, bez zbytnich ozdób stylistycznych, bez naciąganych i powikłanych sytuacyi. Do najlepszych należą *Pamiętnik Fr. Krasińskiej* i *Listy Elżbiety Rzeczyckiej.* Z większych napisała dwie powieści obyczajowe t. j. *Karolina* w 3ech tomach r. 1834 i *Krystyna* w 2 tomach r. 1841, i jednę historyczną *Jan Kochanowski w Czarnolesiu* 2 tomy. Z zbytniej chęci moralizowania, z zanadto wybitnej tendencyjności, wywiązał się w tych powieściach ton cokolwiek rozwlekły, zawsze jednak nie są one bez rzetelnej wartości i okazują jawnie wrodzony talent.

Obok Tańskiej wypada przypomnieć imiona dwóch jeszcze kobiet, które pracowały z pomyślnością na tem polu t. j. *hrabinę Jaraczewską* i panię *Rautenstrauchowę*; szczególnie pierwsza z nich nieposlednim obdarzona talentem, kilka dobrych napisała powieści.

W r. 1831 wystąpił *Kraszewski* w Wilnie z pierwszą powieścią pod tytułem *Pan Walery przez Kleofasa Fakunda Pasternaka.* W rok potem wydał pod tym samym pseudonimem drugą powieść *Wielki świat małego miasteczka* W roku 1833 wyszedł *Kościół Świętomichalski* obraz historyczny, już pod właściwem imieniem autora, dalej *Pan Karol* powieść fantastyczna, *Rok ostatni panowania Zygmunta III.* obraz historyczny, w r. 1837 *Majster Bartłomiej*, *Dwa a dwa cztery, czyli piekarz i jego rodzina.*

Oto pierwsze płody powieściarskie Kraszewskiego, słabe niezawodnie w porównaniu z późniejszymi, ale w każdym z nich przebija się twórczość i znakomity talent, rokujący świetną przyszłość i rozbudzający wielkie nadzieje, których też Kraszewski nie zawiódł.

Tuzinkowi i nie tuzinkowi krytycy zasypali autora zarzutami, a on im w odpowiedzi sypał nowe powieści, krytykując sam pod własnem imieniem utwory pseudonima Fakunda Pasternaka.

Michał Grabowski jednak już z pierwszych płodów poznał zdolności Kraszewskiego i wielkie w nich pokładał nadzieje, uważając go za najwięcej utalentowanego ze wszystkich powieściopisarzy polskich. W tem przekonaniu udzielał mu szczodrze w szczerej myśli rad swych, w celu sprowadzenia młodego autora na dobrą podług jego wyobrażenia drogę. Ale Kraszewski jak mało dbał o nagany krytyków tak podobno i o rady Grabowskiego nie wiele się troszczył, i szedł dalej, ale swoją drogą.

Dla Grabowskiego był Walter Szkot alfą i omegą doskonałości powieściarskiej, ostatecznym celem jaki powieściarz osiągnąć może i do tego też celu, do tego wzoru, radby był nawrócił i Kraszewskiego. Ale Kraszewski od pierwszej chwili widocznie inną obrał sobie drogę — on dążył do powieści obyczajowej, a tylko czasami mimochodem schodził na pole historyczne.

Źródłem z którego czerpał był żywy prąd życia spółczesnego, strony najciemniejsze tego życia, najbrudniejsze charaktery, najmniej poetyczne chwile, które najbardziej raziły autora, odbiły się w jego pierwszych próbach. Kreślił on je na dorywczu, możnaby powiedzieć zanadto pospiesznie, nie starając się o wykończenie szczegółów, o zaokrąglenie całości. Ustawał w połowie powieści gdy mu zabrakło atramentu lub papieru, pozwalał igrać swobodnie kapryśnym pomysłom, ale szedł śmiało i wytrwale naprzód, a czując wewnętrzną siłę i popęd zaszedł daleko, bardzo daleko, tak że nie prędko kto potrafi już dziś wyprzedzić autora *Dwóch światów.*

Mówiąc o Kraszewskim nasuwa się mimowoli pod pióro *Korzeniowski*, chociażby o nim z kolei poźniej wypadało pomówić, gdyż dopiero po roku 1840 wystąpił na polu powieściarskiem, zajmując się przedtem dramatem i komedyą.

Są to dwaj pisarze mający najwięcej sympatyi; najwięcej są czytani i najwięcej też piszą. Opinia publiczna zarówno ceni jednego i drugiego i stawia ich imiona nierozdzielnie obok siebie, Korzeniowski zaś podoba się przeważnie płci pięknej i w niej podobno silniejsze ma stronnictwo, niż Kraszewski.

Niechaj nam przebaczą czytelniczki nasze, ale tym razem nie możemy podzielać ich zdania, acz nie dziwimy się zupełnie tej predylekcyi dla autora *Krewnych*; przeciwnie, znajdujemy ją bardzo naturalną. W powieściach Korzeniowskiego jest każdy szczegół, każda drobnostka troskliwie i artystycznie wykończoną, całość starannie zaokrągloną, z wyrachowaniem i rozmysłem przeprowadzona. Charaktery są powiększej części szlachetne, zacne, a choć się znajdzie jaki niepoczciwiec, mało który jest taki zatwardziały w grzechu i błędach, żeby się bodaj przy końcu drugiego albo trzeciego tomu nie poprawił i nie wszedł na drogę wiodącą do wiecznego zbawienia duszy, jeżeli mu śmierć przedwczesna, przypadkowa, nie przeszkodzi. Korzeniowski tak jakoś chwyta za serce, jego obrazki takie urocze, takie miłe, w każdym dworku, który on opisze, tak jakoś lubo, wygodnie, tak swojsko, że czytelnik aż zatęskni — czemuż to powieść tylko? —

Korzeniowski okryje wszystko gazą jakąś. że ani cienie ani światło nie uderzą za mocno i tylko tyle z nich przeziera, ile potrzeba, żeby ułożyć miłą oku grę

kolorów, nie rażącą nigdzie silnym kontrastem. Zawsze szata ideału przykryje niemiłą prawdę, bo wie on, że „prawda w oczy kole.“ To też koniec końców w świecie, który tworzy Korzeniowski, pomijając małe niedogodnostki, zawsze bardzo jest dobrze, przyjemnie i „nie źli są ludzie.“

Jest to dążność optymistyczna, która w każdym innym narodzie może być dobrą, tylko nie w naszym. Nie należy jednać nas z teraźniejszością i przytłumiać w nas to niezadowolenie, które stan obecny słusznie w nas rozbudza — wyobrażając nam świat otaczający i stosunki nasze tegoczesne w tęczowych barwach. Korzeniowski umie użyć wszelkich tajemnic sztuki, umie zastosować wszelkie zasady estetyki, aby stworzyć powiastkę lub powieść, która mile się czyta, która czasem mimowolny uśmiech wywoła a czasem łzę wyciśnie; ale Korzeniowski nie umie uderzyć w te struny, których dźwięki poruszą nietylko miękkie serca kobiet, ale które nawet i z najtwardszych wydobędą iskrę zapału. Korzeniowski może bawić ludzi, ale nie podnosić ich, nie wieść ich naprzód do postępu i otrzęsienia się z wad, brudów, występków i nałogów.

Przeciwnie Kraszewski — jemu nie chodzi o drobnostki, o wykończenie, o zaokrąglenie, ale o myśl i prawdę. On nie jest ani optymistą, ani pessymistą, ale patrzy zdrowem okiem na świat, widzi go takim jakim jest, i takim go też wystawia. Śmiały w pomysłach, przeprowadza je jenialnie, nie traci dużo słów, nie gubi się w drobiazgowych opisach, ale w kilku zarysach stawia cały obraz żywo przed oczy; w kilku wyrazach skreśla charakter swych figur, zawsze świeżych, zawsze nowych i różnych, niepowtarzających się nigdy, jak w naturze nie znajdziesz dwóch listków jednakowych a tem mniej dwóch ludzi. Możnaby go porównać z naszym sławnym malarzem Michałowskim, który kilku plamami farb, rzuconemi niby od niechcenia na papier, malował obrazy.

Ale w powieściach Kraszewskiego widać coś więcej jeszcze, coś, co może dla nas jest najważniejsze — t. j. dążność do reakcyi, do poprawy, do podniesienia. W Polsce potrzeba jeszcze czegoś więcej niż samej sztuki — bo u nas nie chodzi o uprzyjemnienie żywota, ale o żywot sam; każde więc dzieło musi budzić, musi podnosić słabnące tętna żywota narodowego, inaczej nie może mieć pełnej wartości i będzie tylko cackiem, które po chwilowej zabawce stoi zapomniane gdzieś w kącie. Nim bowiem Perykles ozdobił Ateny dziełami nieśmiertelnej sztuki pierwej tam Maratońskie i Salamińskie powiewały trofea!

Kraszewski nie zadawalnia się stanem obecnym społeczeństwa naszego, nie stara się wyszukiwać jego piękne strony i idealizować je, aby przytłumić wszelkie pragnienie czegoś nowego, czegoś lepszego, wmawiając w swych czytelników, że i teraz wcale dobrze, bo mamy powietrze, wodę, widzimy niebo nad sobą, a słońce jak zawsze tak i dziś i złym i dobrym przyświeca zarówno. Przeciwnie — każda jego powieść świadczy, że autor z tym niemiłem *status quo* pogodzić się nie może, że się w nim nie rozlubował jak Korzeniowski, lecz radby go zdeptać, zohydzić w oczach wszystkich, wykazując nielitościwie jego wady, błędy i podłości, z któremi wznioślejsze duchy krwawą toczą walkę, lecz nadaremnie często, bo *nec hercules contra plures*. Ztąd powieści Kraszewskiego (mówiąc trywialnie) smutnie się kończą, bo nie mogą inaczej, chybaby autor chciał się mijać z prawdą, lub polował na takie idyliczne obrazki jak *Krzyż na stepie*, lub nareszcie w legionach kaukaskich krystalizował męty społeczeństwa. W Kraszewskim jest ciągła walka, która przecież kiedyś choć po wielu trupach doprowadzi do zwycięstwa — w Korzeniowskim panuje cichy spokój, który przez miłe senne marzenia wiedzie do pleśniejącej stagnacyi.

Nie śmielibyśmy powtórzyć zarzutów, które p. Klaczko uczynił autorowi Krewnych, obwiniając go o najcięższą zbrodnię, o jaką polskiego pisarza w obec narodu obwinić można. Sądzimy jednak, że Korzeniowski starając się szczególniej o artystyczną stronę swych powieści, zapomina często o ich wartości wewnętrznej i o potrzebach narodu, podczas gdy Kraszewski mniej dbały o artystyczne wykończenie głównie rzecz samą i wymagania obecnego położenia naszego ma na oku.

Zdaje nam się zbytecznem wyliczać wszystkie płody powieściarskie obudwu autorów, gdyż znane są pewnie dostatecznie czytelnikom, a szereg byłby zbyt długi i nużący. Tyle więc o tych najznakomitszych powieściarzach polskich; spieszymy się jeszcze o innych powiedzieć słów kilka.

W roku 1838 wystąpił po raz pierwszy na polu powieściarskiem znany już dawniej jako krytyk Michał Grabowski pod pseudonimem *Edwarda Tarszy*. Pierwsza jego powieść pod tytułem *Koliszczyzna i stepy* zasługuje na szczególniejszą uwagę ze względu na doskonałe artystyczne wykończenie i trafnie zachowany koloryt ukraiński. Jest to najmniejsza ale też pewnie najlepsza ze wszystkich powieści Grabowskiego.

W r. 1840 wydał 5 tomową powieść *Stannica Hulajpolska*. Pierwsze tomy wzbudziły wielką ciekawość i oczekiwanie, ale ostatni nie odpowiedział wymaganiom, rzecz bowiem raptownie urywa. Zresztą widać tu jak i w Koliszczyźnie głęboką znajomość miejscowości. Prócz tego napisał jeszcze w r. 1845 *Tajkury* bardzo słaby utwór, w r. 1846 *Pan Starosta Kaniowski* obraz powieściowo historyczny w 3ech oddziałach, dalej *Ukraina dawna i teraźniejsza*, nakoniec *Pamiętniki domowe*, nie powieść ale raczej materyał historyczny. Grabowski nie uważał się za powieściarza i mało cenił swój talent powieściarski, z powołania był krytykiem, i w tym zawodzie czasu swego ważne i niezaprzeczone położył zasługi, ale i w dziejach powieściarstwa niezawodnie znakomite zajmuje stanowisko.

Mówiąc o Grabowskim nie można pominąć *Michała Czajkowskiego*. Obydwaj ci pisarze obrali za tło

do swych obrazów Ukrainę i obu cechuje jedna właściwość, to jest, że pierwsze płody są lepsze a poźniejsze coraz słabsze i lichsze. Pierwszym utworem Czajkowskiego są *Powieści Kozackie* drukowane w r. 1838 u Jełowickiego w Paryżu. Udatne obrazki napisane stylem oryginalnym, ale miłym, świadcząc o niezaprzeczonym talencie autora, zrobiły wrażenie na czytelników, a dobre przyjęcie tej pierwszej próby zachęciło Czajkowskiego do dalszej pracy. Już w r. 1839 wystąpił z drugą powieścią pod tytułem *Wernyhora.* Poźniej napisał *Kirdżali* i *Stefan Czarniecki.* Prócz tego drukował wiele powieści po czasopismach, z których potem powstały osobne zbiory. W roku 41 wydał w Poznaniu powieść *Anna*, bardzo słabą, w tym samym roku w Berlinie *Hetman Ukrainy*, w Paryżu *Koszowata*, tamże w r. 1842 *Owruczanin.*

Powieści Czajkowskiego z coraz mniejszym czytają się zajęciem i zachwytem; ten styl świeży, dziarski, bundziuczny, obrazowy, pełny wyrażeń oryginalnych czerpanych z mowy ludowej, w początku bardzo się może podobać, ale przeczytawszy kilka książek Czajkowskiego traci się ten urok, a coraz wyraźniej uczuwa się niesmak maniery, szczególniej w obszerniejszych jego utworach. Możnaby jeszcze zarzucić autorowi rodzaj jakiejś niby bigoteryi, która dziwnie odbija przy tej butności kozaczej, a dziwniej jeszcze przy turbanie, który Czajkowski później przywdział. Nie z należytego i nie z prawdziwego stanowiska zapatruje się on na stosunki Kozaczyzny do Polski, wystawia je inaczej jak było w rzeczy samej i jak świadczy historya. Są to jednak zarzuty, które nie ujmują autorowi talentu nawet znakomitego, a co większa, nie plamią jego poczciwej sławy i dobrego imienia.

Inaczej jednak ma się rzecz z pisarzem, o którym teraz pomówić nam wypada t. j. z *Henrykiem Rzewuskim*, tym hrabią, który jest lepszym katolikiem niż sam papież, dumniejszym arystokratą niż jego carska mość, a przy tem wszystkiem wierniejszym sługą imperyi rosyjskiej niż najpodlejszy czynownik. Gdyby nie pierwsze prace jego dosyć byłoby wspomnieć imię autora i dodać w nawiasie, że tego co pisał czytać nie warto; ale p. Rzewuski zapowiadał w swych pierwszych utworach zupełnie inne rzeczy jak te, które poźniej na hańbę dla siebie wydał.

Któż nie zna *Pamiętników Seweryna Soplicy* i *Listopada*, ale któż pojmie jak autor takich dzieł mógł napisać: *Mięszaniny*, *Pamiętniki Michałowskiego*, *Teofrast polski*, *Łaska i przeznaczenie*, *Niebajki* nakoniec *Paź złotowłosy.* Możnaby słusznie utrzymywać, że Soplica i Listopad nie są pióra *Jarosza Bejły* — jak się podobało przechrzcić Rzewuskiemu, — gdyby nie przypiski do Listopada co zdradzają już jego zasady, które później rozwinął, i są niby złą wróżbą owych przyszłych monstrualnych płodów, jakiemi autor obdarzył literaturę.

Listopad jest niezawodnie najlepszą powieścią historyczną polską, której nie można już nazwać naśladowaniem Walter Skota, ale raczej należy położyć ją obok niego jako drugi wzór tego rodzaju — *Paź złotowłosy* przeciwnie najlichszą ramotą, na jaką tylko najpodlejszy bazgracz zdobyć się może. Oprócz tych dwóch wyżej wspomnionych utworów t. j. *Soplica* i *Listopad* zasługuje jeszcze i *Zamek krakowski* być wspomnionym, chociaż znacznie jest już słabszy i nie dorównywa pod żadnym względem Listopadowi. Reszty utworów lepiej byłby zrobił Rzewuski gdyby nie był wydawał, byłby bowiem zachował poczciwe imię choć w literaturze i tę sławę, jaką mu zjednały pierwsze jego prace.

Od Rzewuskiego miło zwrócić się do *Ignacego Chodźki* i do jego obrazków branych z życia codziennego tak prostych, bez wszelkiej przesady i naciągania sztucznego a przecież tak poetycznych i uroczych. Chodźko dopiero w r. 1840, a 46 życia swego wystąpił jako powieściopisarz i wydał pierwszą swą pracę w tym rodzaju pod tytułem: *Domek mojego dziadka* – wszystko tu prawdziwe, rzeczywiste, niezmyślone, nie ma tu bogactwa obrazów, ale sposób przedstawienia jest taki trafny, taki naturalny, że się nietylko podobać ale zachwycić musi. Chodźki powieści dowodzą, że w najprozaiczniejszych na pozór scenach codziennego życia jest poezya, tylko trzeba ją umieć dopatrzyć i podnieść. Poźniej napisał: *Brzegi Wilii*, *Pamiętnik kwestarza*, *Jubileusz*, *Duch opiekuńczy*, *Autor swatem*, *Panna respektowa*, *Dworki na Antokolu* i wiele innych powieści zebranych w 3 tomach pod nazwą *Podania litewskie.* Wszystkie utwory Chodźki cechuje prostota, prawdziwość i jakiś szczery duch staropolski.

Najzupełniejszy kontrast z Chodźką tworzy pseudonim *Eleonora Styrmer.* Autor obrazów litewskich zbierał treść i charaktery do swych powieści pod cichą strzechą dworków szlachty litewskiej, z życia codziennego, społeczeńskiego; Sztyrmer przeciwnie zagłębia się w ciemne tajnie ducha i z smutnych gruzów chorowitego umysłu składa swoje utwory. Zna on choroby duszy i serca ludzkiego jak biegły lekarz, i z zadziwiającym maluje je talentem; rozbiera je i analizuje jak anatom. Nie są to miłe i piękne obrazy — ale zadziwiające straszną i bolesną prawdą. Figury Sztyrmera są to po największej części jakieś typy szpitalne, ale tak rzetelnie prawdziwe, że zdaje się jakoby autor nieraz odwiedzał ponure cele obłąkanych, z nich zbierał wzorki i badał przyczyny ich szaleństwa. Taki jest *Frenofagiusz i Frenolesty*, powieść wyjęta z pamiętników nieboszczyka *Pantofla* w r. 1844, *Kataleptyk*, *Światło i cienie.* Wszędzie zwraca autor uwagę na stan duszy zagadkowy, nienaturalny, naprężony, który maluje z głęboką znajomością.

Oprócz powyż wspomnionych pisarzów należy wyliczyć choć imiona tylu innych, którzy pracowali na tem polu literatury; zastanawiać się dłużej nad nimi nie pozwala nam zakres pisma naszego.

Wilkoński Ang., *Placyd Jankowski* (Dżon of Dykalp), *Zygmunt Kaczkowski*, *Suwczyński*, (Bodzantowicz) *Tripplin*, *Zacharyasiewicz*, *Antoni Nowosielski*, *Zenon Fisz*, (Padalica), *Pietkiewicz* (Adam Pług) i wielu innych.

Dzisiaj zasypują nas powieściami — ale czy powieść jest wyżyną ostateczną na jaką literatura narodu wznieść się może, czy jest punktem kulminacyjnym poezyi jak utrzymuje M. Grabowski? — Dziś odpowiedzieć na to trudno, prawie niepodobna — przyszłość dopiero rozstrzygnie.

Lwów 1860.

Łucyan Tatomir.

Cicha praca.

Wiesz pewnie, jeśliś zbadał wszelką moc natury,
Że pod wpływem powietrza, ciepła i wilgoci
Najtwardsza skała w żyzną ziemię się obróci,
Karmiąc kwiaty swą treścią jako matka córy.

Tej sile masz być wdzięcznym za zielone góry,
Za zboże, co po łanach dojrzałe się złoci,
I za drzewa barczyste i za liść paproci —
Bez niej świat by pozostał pusty i ponury.

Przyrodo! jakżeś wielka, kędy działasz w ciszy,
Tu ni wrzawy ni brzęków, ni gromów ni tęczy —
A z cichego warsztatu w koło życie dyszy.

Och czemuż, gdy was zapał ogarnie młodzieńczy,
Sławą chcecie się stroić? — sława pusto brzęczy, —
Dla kraju cicha praca — niech jej nikt nie słyszy! . . . .

Wincenty S.

Wincenty Kadłubek.

Otóż stoi przed nami skromna, świętobliwa postać ojca kronikarzy naszych. Nie wchodzić nam czy czerpał co z drugich i jak tam go sądzą po dzisiejszemu historyczni krytycy, ale uczcić bogobojnego kapłana, co przy tylu pracach pasterskiego urzędu, znalazł czas do pisania dziejów swego narodu.

Ćwiczył się też pilnie w naukach pobożny Wincenty w latach młodości, i był tak biegły w piśmie świętym, jak i w dziejach różnych narodów. Już w statecznych latach został kapłanem, a z proboszcza przy kościele Panny Maryi w Sandomirzu, wezwany został na biskupa krakowskiego; świecąc na tym nowym urzędzie niby jasna pochodnia, mądrością, pobożnością i dobrym przykładem. Był zaś nadzwyczaj rządnym, i to co nazywają dobrym gospodarzem; w dobrach biskupich mnożył dochody, żeby mu ich potem na pożyteczne fundacye i wsparcie potrzebnych nie zbrakło. Dwie wsie swoje dziedziczne, darował opactwu Jędrzejowskiemu, drugie dwie Koprzywnickiemu klasztorowi. Zostawił fundusze na lampy nieustannie gorzeć mające przed Najświętszym Sakramentem w katedrze Krakowskiej i Kieleckiej; ten ostatni kościół uposażając jeszcze dziesięcią prebendami doń przyłączonemi. Na urzędy kościelne dobierał ludzi cnotliwych i mądrych. Umiał ocenić od razu zasługi braci Odrowążów, poźniej świętych Czesława i Jacka, z których pierwszego kustoszem Sandomirskim, a drugiego kanonikiem Krakowskim uczynił.

Jeszcze proboszczem Sandomirskim był Wincenty kiedy król Leszek Biały, polegając na roztropności jego, powierzył mu córkę swą Salomeę, aby ją w charakterze posła polskiego odwiózł do Halicza, mężowi Kolomanowi. Gdy tenże Koloman dobijać się musiał po śmierci ojca Jędrzeja o królestwo Węgierskie, wyznaczone testamentem ojcowskim, dzielnie mu w tem dopomógł Kadłubek, sam go namaścił i ukoronował. Powagą swoją i łagodnością, godził nieraz zwaśnione umysły książąt polskich, przestrzegając przedewszystkiem sprawiedliwości.

Spędziwszy lat dziesięć na biskupiej stolicy, postanowił złożyć tę godność i w klasztornem ustroniu, już tylko zbawieniem swej duszy się zająć. Powiadają jedni, że gdy piorun uderzył w skarbiec kościoła katedralnego krakowskiego i wszystkie apparata kościelne w perzynę obrócił, tak to srodze zabolało Wincentego, że lubo szkodę kościołowi ze szkatuły swojej wynagrodził, jednak obawiając się żeby to nie było karą dopuszczoną od Boga za jakie ułomności jego, postanowił sobie klasztornego życia pokutę. Drudzy twierdzą, że go zniechęciło do pasterskiej godności, prześladowanie duchownych, którym nie w smak pójść miało, że biskup piątą część ich dochodów, na ważne potrzeby krajowe dozwolił zabrać, coby było jednym dowodem więcej jego światłej miłości dobra publicznego. Bądź cobądź, Kadłubek za dozwoleniem Honoryusza III. złożył biskupstwo r. 1218. i zamknął się w zakonie Cystersów w Jędrzejowie, gdzie w głębokiej pokorze, w wyniszczeniu ciała, w ochotnem na wszystko posłuszeństwie, rok nowicyatu odprawiwszy, śluby zakonne odprawił.

„Trafiło się pewnego razu (mówi opisujący życie jego zakonnik), że gdy inni bracia zakonni na jutrznię według zwyczaju w kościele stanęli, mąż Boży Wincenty, głęboko na modlitwie w Bogu zanurzony, o jutrzni nie pamiętał i trwał w celi. Postrzegł to opat, a chcąc się dowiedzieć, czemby się Wincenty natenczas bawił, przez szparę w drzwiach zajrzał. Aż widzi sługę boskiego klęczącego i niezwyczajną światłością otoczonego, jakby w zachwyceniu będącego; nic tedy nikomu o tem nie mówiąc, dzięki czynił Bogu i cieszył się w duchu, że takiego współbrata miał w swojem zgromadzeniu. Wtem przyszedłszy do siebie Wincenty, a zrozumiawszy, że już czas jutrzni minął, opatowi do nóg upadł, winę na siebie dobrowolnie wyznając, którą mu on tem łatwiej darował, im lepiej wiedział, jak święta zabawa do jutrzni mu przeszkodziła”.

Pięć lat przeżył w klasztornym zaciszu błogosławiony Wincenty, dodając jeszcze nowe zasługi pobożności do chwały swojej. Po bogobojnem zejściu jego, Teodoryk francuz, drugi opat Jędrzejowski, ciało jego w biskupskim stroju pochował i piękny mu wystawił

nagrobek. Dopiero w kilka lat za dozwoleniem papieża, Koniecpolski biskup Chełmski i opat Jędrzejowski, w przytomności Piotra Gembickiego, natenczas administratora biskupstwa Krakowskiego, oraz licznie zgromadzonego ludu, kości święte wyjął, które potem w ołowianną trumnę przełożono i w marmurowym nagrobku zamknięto. Odtąd corocznie ósmego marca, w Jędrzejowie*) święto błogosławionego Wincentego z wielką uroczystością i nabożeństwem obchodzą, a ludzie wielkiej wiary, wzywający jego przyczyny, nieraz cudownych łask doznają. Za czasów ostatniego biskupa Sandomirskiego, przewieziono część kości błogosławionych poszóstną karetą, w złotej trumnie, z wielką wystawą religijnych obrządków, do Sandomirskiej katedry. We wsi Karwowie pod Opatowem gdzie się rodził Kadłubek, z matki Benigny i ojca Bogusława herbu Poraj, jest prześliczne w lesie na wzgórku źródełko, z którego wylewa się strumień orzeźwiający. Ze wzgórka tego na Karwów, rozsypany w dolinie, widok czarujący. Tamto jak podanie niesie lubił siadywać Wincenty w pierwszych latach młodości swojej, marząc o niebie i cnotach, za pomocą których do niego dojść można. Mieszkańcy okoliczni nazywają wodę cudowną, obmywają się nią w niemocach swoich, rozpowiadając różne szczegóły o błogosławionym z tą miłością, z jaką zwykle lud nasz przechowuje wszystkie wspomnienia świętych patronów, tych orędowników Polski u stóp Przedwiecznego. *J. S.*

---

*) W dawnym klasztorze Cystersów są teraz Bernardyni.

O lwowskiej wystawie obrazów.

Od czterech już tygodni trwa wystawa obrazów we Lwowie. Znajdują się tam dzieła wielkiej piękności, starych mistrzów, a oprócz nich znaczna ilość dzieł naszych teraźniejszych żyjących malarzy, które acz może w oczach surowego znawcy nie dorównują tamtym doskonałością pęzla, nieraz jednak swojskością przedmiotu, żywiej przemawiają do uczuć i silniej podnoszą ducha. — Zwiedzając salę obrazów, zauważaliśmy jednak z żalem, iż pomiędzy gośćmi stosunkowo mało napotykaliśmy młodzieży, jak gdyby wystawa ta najmniej właśnie obchodziła młodzież, jak gdyby najmniej zapału dla sztuki, miłości dla ideału, biło właśnie w tych sercach, któreby najgoręciej i najżywiej pojmować i ukochać powinny wszystko co wzniosłe i szlachetne.

Nauka i sztuka to siostrzyce idące w parze, i uzupełniające się wzajem. Kierownice stojące u steru narodowego życia, jeśli pójdą w zaniedbanie i przyćmionem tylko przyświecają mu blaskiem, lub dogorywają w poniewierce, tam wraz z niemi chyli się do upadku naród, rozpada zmateryalizowane społeczeństwo. — Prawdy które umiejętność zbadawszy orzeka, które nauką moralną pracą zdobywa, sztuki piękne czarodziejską swą mocą w żywych uwidomiają kształtach. — A w gronie tych czarodziejek tęczami poezyi ozłacających nam życia widnokrąg malarstwo należy do najpiękniejszych, do najwymowniejszych — bądź to przenosi nas w przeszłość, i obznajamia z najwznioślejszemi chwilami dziejów, czy w niższym zakresie kraj nam nasz własny swojski, obyczaj i życie bieżące w flamandzkich pokazuje obrazkach. O potędze wpływu jaki malarstwo wywiera na nasz umysł przekonał się każdy, kto obejrzał z uwagą którąkolwiek z lepszych galeryi; bo i któż nie poddał się tam silnemu wrażeniu, czyjeż silnie nie zagrało uczucie, myśl wyższym nie drgnęła nastrojem, porwana widokiem tych cudów, które stwarza pęzel artysty ogrzany potęgą natchnienia.

Chcąc to na sobie sprawdzić wejdźmy na wystawę lwowską, a nie pożałujemy kilku godzin czasu w niej spędzonego. — Zbiór to zaiste nie zbyt bogaty, nie mogący iść w porównanie z sławnemi galeryami lub wystawami miast innych lecz przecie znajdzie się i tutaj kilkadziesiąt starych arcydzieł, a w oddziale poświęconym naszym malarzom kilkanaście obrazów znamienitej wartości, które dla nas i z tego powodu i szczególniejszy mają powab, iż przedmioty do nich z naszego swojskiego czerpane życia, i że twórcami ich są ziomkowie pielęgnujący pośród nas święty ogień sztuki narodowej. Zwróćmy uwagę na kilka obrazów w tym oddziale a ten rzut oka da nam już w części przynajmniej poznać wartość wystawy i rozciekawi może do obejrzenia wszystkiego.

Zacznijmy od obrazów historycznych.

Czarniecki to postać bohaterska, olbrzymia — rysująca się posągowo na tle dziejów naszych. Ktokolwiek zajrzy w epokę przypadającą w wiek XVII., nie może pominąć tej bijącej w oczy gigantycznej postaci bohatera. Niewyczerpany imponujący przedmiot dla sztuki jest cały ciąg jego rycerskiego żywota, na teraźniejszej lwowskiej wystawie trzy obrazy wystawiają Stefana Czarnieckiego, w różnych chwilach — trzej malarze kusili się o to wielkie zadanie. — Najsłabszy pod względem sztuki jest Smokowskiego: Pożegnanie Czarnieckiego z córką, w chwili gdy wyjeżdża na wojnę. Zagrzmiały już trąby hasłem pochodu, uszykowane czekają roty, spuszczono zwodzone mosty — koń Czarnieckiego czeka na podwórzu zamkowem wyprowadzony i grzebie ziemię. — Przed krużgankiem, na którym tłum dworzan wyszedł pożegnać odjeżdżającego wodza, stoi Czarniecki w zbroi trzymając w objęciu córkę. — Twarze domowników smutne — kobiety nie mogą utłumić płaczu. — Drugi obraz Pilattego Bitwa pod Manasterzyskami przedstawia szturm do tego miasta, w chwili gdy kula przeszywa Czarnieckiemu podniebienie i wódz krwią oblany upada w ramiona otaczających go żołnierzy.

Najpiękniejszy jest jednak obraz Łoeflera — śmierć Czarnieckiego. — Wódz na parę chwil przed zgonem kazał wprowadzić do chaty w której go złożono, ulubionego swego wierzchowca, towarzysza wszystkich wypraw i przygód wojennych. — Niewysłowiony smutek maluje się w twarzach wszystkich otaczających łoże chorego. — W obliczu Czarnieckiego widać już mgłę śmierci, owiewającą je. — Wszystko w tej tutaj chwili oddycha smutkiem, żałobą — koń nawet z widocznym żalem pochyla głowę i poddaje się głaszczającej go ręce konającego — we drzwiach chaty widać wchodzących posłów królewskich niosących buławę. — Zapożno — śmierć była skorszą niż nagroda. Obraz Löflera należy policzyć do rzędu najznakomitszych arcydzieł. — Technika malarska posunięta w nim do wysokiego stopnia doskonałości. Wszystkie tu by najdrobniejsze szczegóły wykończone z zadziwiającą starannością — wszystkie osoby niby rzeźbione występują z tła płóciennego i grupują się plastycznie około jednego głównego punktu, a ile charakteru, ile wyrazu w każdem obliczu, w każdej postaci. — Kaplińskiego obraz wielkich rozmiarów, Obrona Częstochowy Kordeckiego, jestto szkic raczej przedstawiający tego mnicha bohatera, na szczycie murów twierdzy, ukazującego na zatknięty tam sztandar z wizerunkiem Matki boskiej, ku któremu tłum oblężonych z ufnością podnosi oczy i wyciąga błagalnie ręce. Kaplińskiego jest tu jeszcze Miecznik i Wacław, z Maryi Malczewskiego, spoczywający pod drzewem po wygranej z Tatarami bitwie. Z mniejszych rodzajowych obrazków treści historycznej godne bliższego obejrzenia. Raczyńskiego Popas konfederatów barskich w karczmie, Tatarzy prowadzący szlachcica w jasyr, Sypniewskiego Litwin prowadzący dwóch jeńców krzyżaków i t. d. Lecz oto cztery akwarele, cztery portrety Tepy — portrety nieśmiertelnych wieszczów naszych Mickiewicza, Bohdana, Goszczyńskiego i Lenartowicza – któż nie zatrzyma się tutaj i długo długo z drżeniem serca, nie wpatrzy się w te twarze męczenników, w twarze natchnionych. — Obok Rajchana doskonale trafiony portret ukochanego naszego twórcy Mohorta, pieśni Janusza i pieśni o ziemi naszej. Jest jeszcze drugi portret Bohdana Zaleskiego wielki olejny Raczyńskiego przedstawiający poetę stojącego w altanie z bluszczów uwitej.—Tegoż wybornie trafiony, portret jenerała Rybińskiego, tuż obok zwraca na siebie uwagę wszystkich Żuaw ogorzały pod słońcem Algierskiem z karabinem w ręku, wybor-

nie malowany obraz. Między akwarelami znajduje się kilka arcydzieł. — Do tych należą cztery Orłowskiego: Bitwy konfederatów barskich Na pierwszy rzut oka niepokaźne obrazki lecz ileż tam ruchu i życia w tych rzuconych niby niedbale konturach — Kosaka Mohort Pani Pupardowa i trębacz Kafarek, tegoż większego już rozmiaru kompozyca Wypoczynek na polowoniu. Otóż kilka tylko utworów z naszej wystawy wymieniłem dla rozbudzenia ciekawości: azaliż nie warto choćby tylko dla oglądnienia ich jednak zwiedzić wystawę? . . Lecz spieszyć się potrzeba, bo tylko ten tydzień jeszcze będzie otwarta.

Szkółka powszednia. — Przyrzekłem (zob. 42gi numer Dziennika Literackiego), że moja **Szkółka powszednia** opuści prasę w czerwcu; tymczasem dla braku udziału stanowczego ze strony ziomków, nie zebrawszy odpowiedniego funduszu na nakład, zapowiedziane wydanie musiało się mimo mojej woli opoźnić, zwłaszcza że zamiast 17 ark. druku, książka obejmie przeszło 20 arkuszy, i będzie ozdobiona 88 drzeworytami.

Sądziłem i sądzę, że książki elementarno-naukowe, a popularne, i dla początkujących pisane, są w każdej porze niezbędnie potrzebne i użyteczne dla wzrastającego pokolenia wszelkich warstw społeczeństwa. Uznanie tej potrzeby jest powszechne. Obejdzie się więc bez dowodów. Zresztą pracując oddawna w tym kierunku, miałem otuchę, że podobną książką przysłużę się choć w części i rodzicom i dziatkom — jedynej naszej pociechy i nadziei na przyszłość. Pielęgnować więc wypada te kwiaty narodu, aby się w życiodajny rozwinęły owoc! —

Z 180 biletów, każdy po 5 złr. w. austr., co wynosi 900 złr. w. austr., sprzedałem zaledwo połowę. To nie wystarcza na zaspokojenie kosztów nakładu. Upraszam więc w mojej prostocie i wzywam najuprzejmiej moich ziomków aby uwzględnili tę okoliczność odemnie niezawisłą, i raczyli poprzeć moje przedsiębiorstwo, mające na celu narodową oświatę. Inaczej moje usiłowania bez solidarnej pomocy rozbiją się o przeszkody, które usunąć nie mam środków. Wszak ten kapitał po wyprzedaniu nakładu jest w większej części zwrotny; mianowicie każdy prenumerator bierze tyle egzemplarzy, ile ma biletów, a po odtrąceniu ceny książki, która będzie jak najtańszą, pozostającą resztę wartości biletu odbierze z końcem 1862 r. albo z początkiem 1863, bo mam nadzieję, że w ciągu tegoż czasu cały nakład się rozsprzeda; zwłaszcza że książki moje są dość poszukiwane — mówiąc bez przechwałki.

Imiona i nazwiska prenumeratorów ogłoszę drukiem na wstępie **Szkółki powszedniej** dla pamięci i wzajemnej rękojmii. — Bliższe szczegóły wydawnictwa wyświecę na okładkach dzieła. Raczą więc ziomkowie przesyłać jak najrychlej zaliczkę pod moim adresem franko. a skoro dzieło to wyjdzie, co nastąpi w bieżącym miesiącu (w lipcu), nie omieszkam przesłać natychmiast każdemu prenumeratorowi pocztą na miejsce pierwszy tom **Szkółki**, który stanowi w sobie zaokrągloną całość. — Drugi tom wyjdzie 1861 r. —

Hipolit Witowski.
Ulica Piekarska 426 we Lwowie.

ROZMAITOŚCI.

Towarzystwo muzyczne. Dnia 2. b. m. odbył się w sali towarzystwa muzycznego popis uczniów. Między nimi odznaczył się szczególnie młody dziewięcioletni Augustynowicz, który bardzo wielki zapowiada talent — uczy się zaledwie kilka miesięcy, a nadzwyczajne jego postępy świetną rokują mu przyszłość. Ogólnie wszyscy uczniowie p. Starzewskiego dobrze przebyli próbę egzaminu, świadcząc pochlebnie o staraniach i metodzie nauczyciela Tem więc smutniejszą jest wiadomość, że utalentowany ten nasz ziomek, którego towarzystwo z takiem staraniem uprosiło do objęcia posady nauczyciela i który mozolnej tej pracy z tej tylko podjął się przyczyny, aby się stać pożytecznym krajowi rodzinnemu, opuszcza ostatecznie towarzystwo.

Wiadomo nam, co powiedział muzyczny nasz Nestor Lipiński do utalentowanego ucznia: „ty jeden zdołasz utworzyć w Galicyi szkołę polską!" z radością więc i zapałem powitaliśmy go na ojczystej ziemi, i każdemu występowi jego towarzyszyła najżywsza sympatya. A teraz opuszcza miasto nasze i zakład po roku pobytu, gdy tak świetnie i z takiem powodzeniem rozpoczął zaledwie swój zawód.

Cieszymy się, że dyrekcya zamierza rozszerzyć zakres swego działania: jeżeli bowiem cała czynność towarzystwa na tem by się ograniczała, aby dać kilka koncercików dla najwięcej 100 osób, to niewielki doprawdy z niego pożytek dla kraju, a i przyjemność mała.

Wartości zakładu naukowego (a za taki przecież uważamy towarzystwo muzyczne), nie stanowi samo tylko imię znanego zaszczytnie kierownika Dyrektorem konserwatoryum muzycznego w Brukseli jest sławny w świecie muzycznym z uczoności Fétis, a jednak po odejściu Beriota, konserwatoryum brukselskie jakby zaumarło, ani jeden nie wychodzi z niego utalentowany uczeń od lat 20. t. j. od czasu objęcia kierownictwa przez p. Fétis, i nic nie pomaga sławne imię dyrektora.

Podług odwiecznych praw loiki skutek wieńczy dzieło — pożytek zakładu naukowego stanowią tylko uczniowie, którzy z niego wyszli. Pytamy, kto wyszedł z zakładu naukowego lwowskiego — czy choć jedno głośniejsze imię? — a przecież na talentach nam nie brak, lecz te muszą cudze wycierać kąty i jechać za granicę, bo tutaj niczego się nie nauczą.

A dlaczego? — bo brak dobrych nauczycieli, a i ci zmieniają się nieustannie; a od nauczycieli zależy wszystko. Czem sławne jest konserwatoryum praskie? — Oto tem, że nauczycielem jest p. Tomaszek, imię nie europejskie, a przecież wyszedł z konserwatoryum tego A. Dreyschok, Schulhoff, słynny nasz rodak Luboski, o którym nauczyciel jego wyrzekł pełen zapału, że będzie z niego nie Dreyschok ale Vierschok — lecz niestety! zmarł nam przedwcześnie przed trzema laty w Krakowie.

Dlaczego konserwatoryum lipskie jest prawie pierwsze w Europie? bo nauczycielem do fortepianu jest Moscheles, a słynny Ferdynand Dawid, pierwszy może klasyk muzyczny w Europie, uczy na skrzypcach. W Wiedniu pod Bensem wyszli słynni Ernst, Joachim, Hauser, Singer, słowem cała niemal młoda generacya skrzypków — panna Marchesi wykształciła w 2 latach kilka zdolnych śpiewaczek i t d. i t. d.

Takich samych rezultatów spodziewaliśmy się i po panu Starzewskim. Dlatego chociaż nie wchodzimy w bliższe szczegóły kroku jego, i chociaż wierzymy i wiemy, że był do tego zmuszony, prosimy go bardzo, aby nam nie czynił tej krzywdy i nie opuszczał Zakładu. Nie wątpimy bowiem że dyrekcya wszelkich dołoży starań, ażeby nie utracić tak zdolnego nauczyciela rodaka.

Pierwszego numeru ROZMAITOŚCI z przyczyn od redakcyi niezależnych *rozesłać* **nie mogliśmy. Z wydawaniem dalszych numerów wstrzymać się musimy, póki nie otrzymamy osobnego na to pozwolenia; spodziewamy się jednak, że najdalej od początku drugiego półrocza, t. j. od 1. września z przyrzeczenia naszego uiścić się będziemy mogli.**

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.